

Listy ludowe

Nr. 9. R. 1905.

Dłoń do dłoni.

„W pracy jedyny sposób wypłacenia się Bogu, ludziom i Ojczyźnie.“ — Pamiętne te słowa wyrzekła niezapomniana i czcigodna autorka nasza, Klementyna z Tańskich Hofmanowa i święta jest w nich prawda, bo pracą można wskrzesić Ojczyznę i dług względem Boga i braci naszych spłacić. Pracą uczciwą zdobywa się wszystko. Co widzimy na bożym świecie: wioski, miasta, ubogie chaty i bogate pałace, kościoły, koleje, przeróżne zakłady, szpitale, fabryki, równie jak wszelkie wynalazki, a nawet chleb codzienny, nie mogło stać się bez pracy.

Podziwiamy nieraz jakieś wspaniałe dzieła ludzkie, wynalazki powtarzając: To kosztuje tyle a tyle tysięcy. Naprzód jednak trzeba powiedzieć, że kosztowało to tyle a tyle pracy, a później o pieniądzach mówić.

Tak więc, na co patrzymy i co posiadamy, wszystko zdobyte jest trudem. Pracę też przez usta Apostoła św. Bóg uczynił przykazaniem, w słowach: — „Kto nie pracuje, niech nie je.“ — Czyż próżniak uczynił kiedy coś dobrego? Jest ciężarem w rodzinie, w gminie, w społeczeństwie, złym przykładem i zjadaczem cudzego mienia.

Jeżeli praca pojedynczego człowieka dużo zdziałać może, to praca wspólna, połączona, cały świat byłaby zdolną przeistoczyć; mogłaby uczynić go lepszym, doskonalszym. Znikłaby nędza duchowa i materyalna, ziemia stałaby się rajem pełnym miłosierdzia i szczęśliwości.

Można przyznać, że na świecie jest dużo pracy, dużo stowarzyszeń, ale ileż stronnictw, obozów, przywódców, przeciwnych sobie i psujących nawzajem owoce swoich działań. Dlatego widzimy w ogóle albo bardzo małe korzyści pracy, albo żadnych, lub ostatecznie złe skutki tylko, bo praca nie jest jednomyślną, ożywioną pragnieniem dobra ogólnego, tylko podzieloną, samolubną, prowadzoną przeważnie przez każdego dla siebie samego, dla osobistych celów, dla zagarnięcia owoców nie tylko swojej ale i cudzej pracy.

To jest właśnie złem największem, że ludzie przeważnie dla wspólnego dobra działać nie zwykli. W owym samolubstwie i bezdennej chciwości, tkwi korzeń nieszczęścia i biedy, bo każdy usilnie sam za siebie musi walczyć o ten byt, jak żołnierz na placu boju, co pojedynczo potyka się z przeciwnikiem, a nie może pokonać nieprzyjacielskich szyków, bo mu brakuje i broni i sił i towarzyszy. I musi go wróg pokonać, bo zostawiony sam na placu bitwy rady sobie dać nie może.

Dlatego i nas nieprzyjaciel zawsze zwycięża; a my, uczuwszy się bezsilni, cierpimy i narzekamy na biedę i ucisk ze strony możniejszych, dla których pracujemy, zapominając o sobie — bo nam brak jedności i wspólnej pracy.

Czyż nasze stronnictwo chrześcijańsko-ludowe, choć już dużo dokonało, — nie mogło za lat tyle zrobić dużo więcej? Ale czyż to jego wina? albo czy wina Wks. Stojałowskiego, jego przewodnika? Nie, zaiste, — on całą pracę swego życia z zaparciem siebie, wśród oszczerstw i prześladowań, złożył dla ludu w ofierze. A czemuż ten trud jego nie odniósł skutku takiego, jakby powinien? Dlatego, że w stronnictwie naszym brak jeszcze wytrwałej, wspólnej dla ogółu pracy.

Żniwo wielkie, a robotników mało, którzyby zdolnie i szczerze do spółdziałania się przyczynili. Idzie to bardzo jeszcze wolno. W takim razie bowiem skutki pracy gorącej jednego w społeczeństwie człowieka nie mogą być wielkie, jeśli ci nawet, od których najczęściej można było spodziewać się pomocy, t. j. możni i wpływowi, nic prawie nie zrobili w tej mierze, owszem, niektórzy z nich szarpali jego pracę i niweczyli zamiary, czepiając się jeszcze jego osoby.

Nie było dotąd ściśle wspólnej pracy i jeszcze jej nie ma, — ani w gminie, ani w powiecie, ani w sejmie, ani w parlamencie; dlatego tak źle się dzieje. Jeden o drugiego nie dba; zawiść i niezgoda wstrząsają podwalinami społeczeństwa. Jest z niem tak, jak z budynkiem, którego ściany gniją i pruchnieją od deszczowej wilgoci, bo dachu na niem dobrego nie zbudowano.

Gdyby nie było zdrajców i niedbalców, toby stronnictwo nasze ugruntowało podstawy moralne i ekonomiczne w narodzie, czego dowód w tem, co już do tego czasu zdziało. Ono bowiem wskazało ludowi drogę do poznania praw, które posiada i do świadomości, czem w obec innych ludzi jesteśmy.

Przypominam sobie, iż zachodząc przed 18-stu laty do różnych urzędów, mogłem się przekonać, jak tam nas chłopów traktowano poniżającymi przezwiskami: „Ty byku, psiakrew, chamie“ i t. p. Teraz przynajmniej pod tym względem zmieniło się do niepoznania; postępują już z ludźmi dość uprzejmie. A kto owej uprzejmości tych panów nauczył? Nasze stronnictwo. Wszak biło jak w tarabany, wytykając nadużycia, lekceważenia, wyciągając na jaw wszelkie ohydy, zdzierając maskę różnej obłudzie. I to najczęściej poskutkowało. Trafiają się i dziś jeszcze tu i ówdzie nieczne obchodzenia się z ludem, niesprawiedliwość, ale nie tak zuchwałe jak dawniej.

W tarnowskim sądzie jest jeszcze niejaki Kowalski, siwowłósy urzędnik, który wymaga, aby mu nisko czapkowano, — ale ten, to stary z czasów pańszczyźnianych człowiek; zresztą, dawniejsi tyrani zastąpieni zostali w tarnowskich urzędach, ludźmi dobrej woli. Zaślepionym byłby człowiek, któryby nie poznał, że poprawę w tych stosunkach wywołało nasze chrześcijańsko-ludowe stronnictwo.

Kończąc ten list, wzywam Was, kochani Bracia Czytelniny, miłujący prawdę i dobro ogółu, do spójni w spełnianiu obywatelskich obowiązków. Niech reszta braci naszej, w ciemnocie i nieświadomości jeszcze

żyjąca, pozna od was swe prawa społeczne i wraz z nami buduje ten, gmach odrodzenia polskiej Ojczyzny, porzuciwszy obojętność, sobkowstwo i słabość woli, przez którą daje się pociągać ku złemu, poszeptami zdradliwych wrogów prawdy i oświaty. Pycha, chciwość i samolubstwo możnych klas narodu zgubiły naszą ojczyznę; teraz lud polski niech ją podźwignie swemi plecami, podejmując mrówczą pracę wspólnemi siły!

Jakób Łądkwik, z Trzemeszno pod Tarnowem.



Oświecajmy się!

(Dokończenie.)

Czytając jedną tylko gazetę, nikt się w przeciągu jednego roku dostatecznie nie oświeci; należy tedy przez dłuższy przeciąg czasu czytywać, wtedy nabędziesz oświaty i wtedy nie będziesz się mógł doczekać niedzieli, skoro otrzymasz gazetkę, tak cię do niej będzie ciągnęło. Bez trudu i dobrej chęci, nikt oświaty nie nabędzie. Oj, trzeba się namozolić, aby prawdziwego nabyć rozumu, nieraz więcej niż w pracy przy pługu. —

Wszyscy, wszyscy Bracia bez wyjątku na stan, oświecajmy się i łączmy w naszym chrześcijańsko-ludowym stronnictwie.

Słuchajcie Bracia! Gdy na papierze postawimy rzędem zero koło zera, to będą same zera bez wartości, ale gdy na ich czele postawimy jedynekę, to z tych zer powstaną miliony. Taksamo i my kochani Bracia chociaż nie wszyscy posiadamy na tyle oświaty i znaczenia, abyśmy jednostkowo mogli coś zdziałać na korzyść sprawy ludowej, to jednak gdy się złączymy z jedną myślą i chęcią dla naszego dobra, to jak wojsko mające na czele dobrego, dzielnego i mądrego wodza, dużo potrafimy zrobić.

Przypatrzeć się warto nieoświeconemu wójtowi, który nawet czytać i pisać nie umie. Co on to ma strachu, gdy mu wypadnie iść n. p. do starostwa! Już zaraz na wstępie do miasteczka, pierwszego policaję, którego napotka, ciągnie na kieliszek, później tego co lampy czyści i w kancelaryach pali, wreszcie całą zgrają różnych gryziopiórków, a nawet ich jeszcze prosi, żeby raczyli przyjąć od niego poczesne i cygara, mając sobie to za honor, że z takimi wysokimi „herfonami“ urzędowymi przestaje. Dlatego też już zdala mu się kłaniają: „Dzień dobry Panie wójcie!“ A u pana starosty ile taki naczelnik ma „szpagatu“, to o tem ani mowy być nie może.

Gdy taki wójt przestawający z miejskimi krawatonoszącymi, idzie z grabieżnikiem fantować, to zamiast być na to, by nie dopuścić do bezprawnej częstokroć grabieży, on jeszcze jemu pomaga i skacze koło niego jak ciętle koło krowy.

Przecież wójt w gminie jest na to wybrany, aby był ojcem i obrońcą tych, co go wybrali, lecz gdy wójt ciemny jak tabaka w rogu, a na

ustawach tyle się zna, co wilk na gwiazdach, to zamiast być ojcem gminy, staje się jej tyranem.

Wielu też jeszcze ludzi na wsi wierzy w różne gusła, strachy, pokutujące dusze w postaci światełek, „nocnice“, zmory, strzygonie, i t. p. w cudownych doktorów, w doktorki, któremi są zwykle stare piekielne jędze z metrowymi kłakami i nieraz kilkanaście mil idą do takich oszustów po poradę lekarską i dają się porządnie okpić! — Zachoruje koń, krowa, to taki doktor bydłęcy zamiast przynieść ulgę bydłciu, jeszcze je kaleczy, zganiając „paskudnika“ „jęczmień“ itd. Zamawiając „kurdziela“ wbijają koniowi kołek do nozdrzy spuszczając krew, „myszy“ itp. głupstwa, co okolica to inne. Dużo, bardzo dużo jest między nami Bracia złych, szkodliwych zabobonów, nałogów, a wszystko to z braku oświaty. — Dziwimy się żydom i panom, że się im dobrze powodzi, atoli każdy choćby najuboższy żyd, oprócz posyłania dzieci swych do szkoły, trzyma dla nich jeszcze domowego nauczyciela, a każdy inteligentny nie posyła dzieci na wieś, do roboty, ale uczy i kształci od maleńkości.

Oświaty, Bracia, oświaty nam trzeba! Oświata na biedę cudowne lekarstwo! Pozdrawiam wszystkich czytelników.

Wasz brat

Jantek z Bugaja.

Życie sieroty.

Z Czerniowiec otrzymujemy list następujący: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Szanowni Bracia Czytelnicy! Już piąty rok czytam „Wieńca-Pszczółki“, która rozwesela mój smutny los, który, jak poniżej przytaczam, jest bardzo smutny. Pochodzę z Galicyi, z powiatu borszczowskiego. Rodzice osierocili mnie, kiedy miałem 6 miesięcy; wychowałem się po ludzkich progach, biedzony głodem i zimnem, co się odbiło na moim rozwoju cielesnym. Gdym przyszedł do rozumu, poszedłem sam do nauki, gdzie znowu przez 6 lat biedowałem. W ciągu terminu nauczyłem się czytać drukowane za swój czas, ale pisać to mi i dziś trudno. Nieraz byłem karany za to, że niby nie pilnuję roboty, a uczę się. Ojciec mój pochodził z Warszawy i był wysoko uczony, ja zaś wskutek sieroctwa nawet pisać porządnie nie umię. Teraz mam 38 lat; 13 lat pracowałem w jednym warsztacie. Od kiedy czytam „Wieńca-Pszczółkę“ majster mnie prześladował, aż wreszcie wydalil mnie z roboty i to w lutym, gdy czas najgorszy na wyszukanie roboty. Całe lato robię gdzie mogę, ale nie mogę nigdzie dostać stałego miejsca, bo mi majster dawny psuje wszędzie, nazywając mnie „Stojałowczykiem.“ Obecnie pracuję u żyda i zarobię zaledwie na utrzymanie, a mam i żonę słabowitą. Teraz przepraszam Szan. Redakcyę, że jeszcze nie posłałem za gazetkę; skoro mi Pan Bóg pomoże zarobić coś, to poszlę za cały rok. Przykro mi, kiedy czytam, że Bracia składają ofiarę na fundusz jubileuszowy, a ja nie ofiarować nie mogę; zarobek mały, a wobec upadania rzemiosł, zwłaszcza stolarstwa, płaca jest mała. Pozdrawiam Szanowną Redakcyę.

Paweł Dąbrowski.

Wydaw. A. Szydelska. — Odpow. redaktor Ks. St. Stojałowski.

Drukarnia pf. K. Studenckiego, wł. Spółki w Białej.